NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 6 października 1917. Nr. 40.

Groźny pożar w Borysławiu.



Ogólny widok zniszczonej ogniem dzielnicy miasteczka. (Fot. B. Liebermann c. i k. nadw. fotograf. Drohobycz.)

Od Administracyi.

W odezwie, zamieszczonej na czele poprzedniego numeru, zaszła przykra omyłka. Podano tam, skutkiem przeoczenia, fałszywe ceny prenumeraty za *Nowości Illustrowane,* która wynosi obecnie, już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie . . . 25 kor.
Półrocznie . . 12 kor. 50 hal.
Kwartalnie . . 6 kor. 25 hal.

Przepraszając P. T. Czytelników za wprowadzenie Ich mimowolnie w błąd, upraszamy równocześnie tych Prenumeratorów, którzy na bieżący kwartał czwarty nadesłali przedpłatę według poprzedniego, mylnego ogłoszenia, by zechcieli w najbliższym czasie wyrównać różnicę i ułatwić w ten sposób Administracyi i tak już utrudnioną manipulacyę.

Prenumeratę z Austryi i W. Ks. Poznańskiego przesyłać należy wprost do Administracyi naszego pisma: **Kraków XV. ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95. (dom własny).**

Groźny pożar w Borysławiu.

(Do illustracyi tytułowej).

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca był Borysław widownią groźnej katastrofy, która bardzo łatwo mogła była przybrać wprost nieobliczalne rozmiary, gdyby pożar był się przerzucił na teren kopalniany.

O godzinie dwunastej w nocy zabrzmiały jękliwym głosem wszystkie syreny kopalniane, budząc ze snu przerażonych mieszkańców. Przy spokojnem powietrzu stanął w płomieniach dom, tuż obok serca Borysławia, gdzie koncentruje się wszelki handel żywnością i potrzebami codziennego użytku, gdzie mieściły się poprostu dom na domu. Pożar w okamgnieniu objął dzielnicę, a dom po domie zapalał się z samego gorąca, tak, że w kilku godzinach spłonęło z górą 150 budynków, z których każdy był ukrytym magazynem żywności i spirytualiów.

Jasna łuna pokryła niebo, potęgując grozę i łatwo



Z polskich pobojowisk: Zburzone domy w Zaleszczykach.

zrozumiałą panikę, jaka wybuchła wśród ludności, uchodzącej ledwie z życiem, a nie mogącej ratować swego dobytku, który padł prawie w zupełności ofiarą szalejącego ognia.

Ratunek był bardzo utrudniony, głównie z powodu braku wody, a sytuacya poprawiła się dopiero, gdy z sąsiedniego Hubicza przybyło wojsko, któremu, po nadludzkich prawie wysiłkach, udało się wreszcie zlokalizować ogień i powstrzymać dalsze jego szerzenie się. Użyto w tym celu petard ekrazytowych, któremi wysadzano w powietrze poszczególne domy. Ofiarą pożogi byłby padł niechybnie i trakt drohobycki, ale przybyła z Drohobycza straż pożarna pod wodzą komisarza i b. burmistrza p. Iwona i właśnie z tej strony zdołała zlokalizować ogień.

Najpoważniejsze straty ponieśli lichwiarze żywnościowi. Co było przyczyną pożogi — dotąd oficyalnie nie sprawdzono. Kursująca jednak wersya podaje, że przyczyną był złodziej. Włamać się miał do jednego z tych gniazd lichwy i wyzysku i operował sobie w najlepsze przy świecy. Spłoszony jednak przez przechodnia, czmychnął, wywracając świecę, od której zajęło się zboże. Pobudzeni sąsiedzi rozpoczęli gonitwę za złodziejem, a tymczasem ogień zrobił swoje.

Poranne słońce oświeciło tylko gruzy budynków i tlejące jeszcze zgliszcza, a obok nich gromady bezdomnych mieszkańców, załamujących ręce z rozpaczy i opłakujących swe straty.

Dwa zjazdy w Krakowie.

Ze względu na przypadającą na dzień 29. września uroczystość św. Michała, patrona Galicyi, co umożliwiło zwłaszcza galicyjskim uczestnikom wzięcie udziału w obradach, urządzono w tym czasie w Krakowie dwa zjazdy: polskich przemysłowców i polskiego nauczycielstwa.

Zjazd przemysłowy rozpoczął się w dniu 28. września uroczystem nabożeństwem, odprawionem o godzinie 9 rano w kościele św. Anny przez ks. kanonika dra Caputę, poczem uczestnicy udali się do auli uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie obrady otwarto. Aula zapełniła się szczelnie przybyłymi uczestnikami w liczbie około 400. Na otwarcie obrad przybyli między innymi: książę biskup Sapieha, namiestnik hr. Huyn z komisarzem drem Głuszką, marszałek krajowy St. Niezabitowski, członkowie Wydziału krajowego dr. Jahl i dr. Bernadzikowski, rektor dr. Szajnocha, pułkownik hr. Lamezan, delegat Adam Fedorowicz, dyr. Departamentu pracy gospodarczej Tymczasowej Rady Stanu, inż. Kaczorowski z Warszawy, delegaci Koła polskiego Andrzej ks. Lubomirski, dr. Diamand i Edmund Zieleniewski, grono posłów parlamentarnych i sejmowych, b. poseł dr. St fczyk, prezydyum miasta Krakowa, (wiceprezydenci Federowicz, Sare i Rolle), dyrektorowie wszystkich banków i instytucyi finansowych krakowskich, prezydent Centrali dla odbudowy kraju, p. Artur Herbst z kierownikami sekcyi, delegat lwowskiej Izby handlowej Bol. Lewicki, wreszcie grono przemysłowców i rękodzielników krakowskich.



Groźny pożar w Borysławiu: Tlejące zgliszcza spalonej dzielnicy nazajutrz po pożarze. (Fot B. Liebermann, c. i k. nadw. fot. Drohobycz)

Nadto przybyli reprezentanci krakowskiej Izby handlowej, reprezentant Związku fabrycznego, dyr. wojennego Zakładu kredytowego, dyr. Ligi Pomocy Przemysłowej, prof. politechniki lwowskiej Hauswald, generał Rozwadowski i wielu innych. Liczny udział biorą w zjeździe przedstawiciele przemysłu polskiego z Warszawy, Lublina, Dąbrowy Górniczej, wreszcie ze Śląska austryackiego.

Zjazd otwarł przewodniczący komitetu organizacyjnego, poseł Zieleniewski, witając zwłaszcza gości z Warszawy i Poznańskiego. Mowę swą zakończył słowy: „Obyśmy przyszły zjazd odbyli jako obywatele wolnej, zjednoczonej Polski!"

Po wyborze prezydyum, do którego weszli przedstawiciele wszystkich dzielnic Polski, objął przewodnictwo ks. Andrzej Lubomirski. Rozpoczął się szereg mów powitalnych, poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Szereg referatów zainaugurował dyr. J. K. Steczkowski, poczem przemawiali dr. Bujak i dr. Benis, popołudnie zaś zajęły obrady poszczególnych sekcyi Zjazdu.

Drugi dzień obrad zaczęto przed południem pełnem posiedzeniem pod kolejnem przewodnictwem dyr. Wierzbickiego z Warszawy i ks. Andrzeja Lubomirskiego. Na porządku dziennym szereg referatów, między innymi dyrektora dra Battaglii, H Tennenbauma, dra Strassburgera, inż. Sokolnickiego, dyr. Wierzbickiego i radcy Chodźkiewicza. Popołudniu posiedzenia sekcyjne.

W niedzielę wygłoszono resztę referatów. Przemawiali: prof. Morozewicz, dyr. Szarski, prof. Hauswald i inni, poczem, po wspólnej fotografii, nastąpiło o godzinie piątej popołudniu zamknięcie Zjazdu.



Z polskich pobojowisk: Jedna z ulic w Czerniowcach po ustąpieniu Moskali.

Zjazd delegatów Związku Polskiego nauczycielstwa ludowego obradował w tym samym czasie w górnej sali „Sokoła". Rozpoczęło go nabożeństwo, odprawione w dniu 29. września w kościele O.O. Franciszkanów. Ogółem przybyło przeszło 200 delegatów z całego kraju, nauczycieli i nauczycielek, oraz kierowników szkół. W otwarciu zjazdu wzięli także udział delegaci Koła polskiego, posłowie dr. Matakiewicz i dr. Marek, wiceprezydent Rady Szkolnej krajowej dr. Fryderyk Zoll, delegat Rady m. Krakowa radca m. Konopiński, Rady szkolnej okręgowej, Tow. nauczycieli szkół wyższych, Biura szkolnego polskiego, T. S. L., Tow. polskiego instytutu pedagogicznego, fizyk dr. Janiszewski i inni.





Odwiedziny u internowanych: Książę Sapieha i dr. inż. Kasperowicz przed menażą w Benjaminowie. Książę Sapieha i dr. inż. Kasperowicz w gronie internowanych oficerów legionowych przy śniadaniu w Benjaminowie.

Z Warszawy przybył p. Karol Klimek, prezes Zrzeszenia nauczycieli ludowych w Królestwie Polskiem.

Obrady zagaił prezes Związku polskiego nauczycielstwa ludowego, Stanisław Nowak, witając zgromadzonych i wyłuszczając cele i zadania, które dziś przedstawicieli nauczycielstwa zgromadziły.

Do prezydyum zaprosił przewodniczący p. Klimka z Warszawy, jako honorowego prezesa, na sekretarzy zaś p. Pilińskiego i p. Gardzielównę.

Z polecenia prezydyum miasta witał Zjazd radca Konopiński, imieniem krakowskiego Koła T. N. S. W. dyrektor Zawiliński, imieniem zaś T. S. L. prof. Grabowski. Z entuzyazmem przyjęto mowę powitalną p. Klimka z Warszawy.

P. Borucki z Wadowic przedłożył następnie umotywowaną rezolucyę:

„Nauczycielstwo ludowe polskie przez usta swych delegatów, zgromadzonych na zjeździe związkowym w Krakowie w tej wielce uroczystej i historycznej chwili, gdy ważą się losy Polski, wyraża karną solidarność z rezolucyą Koła sejmowego polskiego z dnia 28. maja 1917 i oświadcza głośno i uroczyście, że tej solidarności nie złamie i niczem nie zachwieje, Kołu zaś sejmowemu polskiemu za prawdzi-



Z polskich pobojowisk: Motyw z prawie zupełnie zniszczonej Nadwórny.



Dwa zjazdy w Krakowie: Grupa delegatów i delegatek, biorących udział w Zjeździe polskiego nauczycielstwa ludowego. (Fot. E. Pierzchalski, Kraków)

wie narodowe jego stanowisko, zajęte w rezolucyi z 28. maja, wyraża głęboki hołd i cześć". (Oklaski.)

Uchwalono też wystosować telegram powitalny na zjazd T. S. L. i wysłać trzech delegatów na Zjazd przemysłowy.

Przewodniczący uczcił pamięć cesarza Franciszka Józefa, dalej Henryka Sienkiewicza i innych zmarłych, zasłużonych dla narodu i organizacyi nauczycielstwa.

Pierwszy dzień obrad zajęły przed południem referaty dyr. Bernadzikiewicza i fizyka miejskiego dra Janiszewskiego (O gruźlicy u dzieci). Popołudniu, po wspólnej fotografii, referował dr. H. Kanarek o kształceniu polskiego nauczycielstwa ludowego. Nad poszczególnymi odczytami przeprowadzono bardzo ożywioną dyskusyę.

W drugim dniu obrad, w niedzielę, po powitaniu delegata ze Śląska, p. Kotasa, odczytano nadeszłe telegramy i przystąpiono do wyboru członków dla komisyi wniosków, poczem p. Szado zdał sprawozdanie z działalności Związku i stanu kasy za lata 1914—1916. Zabierali jeszcze głos pp. Mayer, Müller, Smulikowski i dr. Kanarek, popołudniu zaś, po referacie p. Baścika na temat „Nauczyciel, jako czynnik ekonomicznego podniesienia kraju", odczytano listę nowowybranych członków Naczelnego Zarządu. Po przemówieniu p. Sempołowskiej w sprawie organizacyi szkolnictwa w Królestwie Polskiem i uchwaleniu całego szeregu wniosków zjazd zamknięto.



Dwa zjazdy w Krakowie: Uczestnicy II. Zjazdu przemysłowców polskich przed gmachem Uniwersytetu (Fot. E. Pierzchalski, Kraków).

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

18

— Jaka pani dobra dla mnie!... Czem ja się pani odwdzięczę?...

— Et! Klituś bajduś!... Anim ja dobra, ani mi się wdzięczność należy i... dobranoc pani.

Złośliwy dyablik, który podszepnął Larchównie radę o zasiłku dla Józi, zanosił się teraz od śmiechu, na myśl o wściekłości pani Zarnickiej, kiedy ta się dowie, że jej synowa stara się o zasiłek.

— A niech pęknie ze złości!... Mogłaby choć po kilka koron miesięcznie dawać temu biedactwu!... A to ją urządził!... O! Dzięki Ci Boże, żem ja w tę czcigodną familię Zarnickich nie wdepnęła...

Kiedy Larchówna powróciła do swego pokoju, Lutka Wichurzanka przyjęła ją wykrzykiem zdumienia:

— To ta młoda Żarnicka u ciebie bywa?!

— A była dzisiaj po raz pierwszy. — odpowiedziała niedbale, zabierając się do mycia.

— Ależ jakim sposobem poznałyście się?! Ty i Zarniccy?!...

— Moja Lutko, wiem, że jesteś prawnuczką prababci Ewy i dlatego mocno ciekawą, ale ty chyba także wiesz, że ja nikomu nie lubię zdawać sprawy z tego, co robię...

— Kiedy, doprawdy nie mogę wyjść z podziwu... I żeś ty ją jeszcze tak serdecznie zapraszała, tę lalę...

— Więc ona ci się nie podoba?...

— A pewnie, że nie. To musi być kompletna idyotka. Samiczka!... — ostatni wyraz Lutka wymówiła z bajecznie pogardliwem wygięciem ust.

Larchówna uśmiechnęła się.

— Nie będę się z tobą sprzeczała, bo o gusta nie można się sprzeczać...

— I żeby choć była tylko głupia, ale musi być obłudna kobieta, komedyantka wstrętna!...

— Ooo! Lutko, trochę ostrożniej!... Skądże takie ostre sądy?...

— A, bom ją obserwowała podczas ostatniego dnia „kwiatka"... Niby to wyszła za mąż ze strasznej miłości, a ledwie mąż odjechał, to już na kawalerów leci...

— Dziewczyno, na miłość Boską, rwiesz się do nauki, do matury, do studyów, uważasz się za wyższą, za mądrzejszą od swojego otoczenia, a siedzisz po uszy w bagienku plotek...

— To nie plotki!... Sama widziałam!...

— Coś widziała?...

— Jak ta twoja Zarnicka flirtowała obrzydliwie z tym Łuniewskim z „Centrali"... Odbiła go Loli... Miła bratowa!...

Larchówna zastanowiła się. Rada byłaby dowiedzieć się czegoś więcej o tym mniemanym, czy prawdziwym flircie Józi — nie chciała jednak wyciągać Wichurzanki na opowiadanie plotek.

Zresztą Lutka już sama przestała mówić, usiadła przy stole, rozłożyła zeszyt i jedną z przyniesionych książek i wzięła ołówek do ręki.

— Pozwolisz mi uczyć się tutaj? Dobrze?...

— Ależ, ucz się, ucz...

— W domu w żaden sposób nie mogę się uczyć, a koniecznie chcę zdać maturę w jesiennym terminie. Moje siostry urządziły dzisiaj wojenną herbatkę, zaprosiły Micię, Tosię, Ziunię i jeszcze tam którąś... Jest tam także „kawaler jeden na tych dziewic siedem"... Drugiego oczekują, ale pewno nie przyjdzie... Mama się złości, że jej kartek w tym miesiącu nie wystarczy, bo goście zjedzą chleb i cukier... Jednem słowem, jeneralne zamieszanie i dlatego musiałam dać „nogę" z domu...

— Możesz tutaj u mnie spokojnie pracować... Tylko słuchaj, Lutko, chciałam cię o coś prosić...

— No?...

— Nie paplaj tam zaraz w domu, żeś spotkała u mnie młodą Zarnicką.

— Aha! — mruknęła Lutka i zatopiła się cała w tajnikach gramatyki greckiej.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Będzie awantura!... — myślała Józia, wstępując na schody — Ale niech sobie!...

Zdecydowana była, że „nie da się"...

Nadspodziewanie ominęło ją oczekiwane przykre przejście.

Pani Zarnicka miała na kolacyi gości.

Przyjechała do niej kuzynka z dorastającą córką.

Józię przedstawiono gościom bardzo krótko i sucho i więcej nie zajmowano się nią wcale, przynajmniej pozornie.

Kuzynka tylko niekiedy rzucała ukradkowe, ciekawością palące się wejrzenia na „awanturnicę", o której tyle słyszała.

Rozmowa obracała się wokół osób, zupełnie Józi nieznanych, tak, że gdyby nawet chciała, nie mogłaby dorzucić ani słowa do rozmowy.

Nagle kuzynka, zwracając się do pani Zarnickiej, zapytała słodziutkim tonem:

— A propos, moja droga, słyszałaś już o mariażu Izy Masławskiej?

Józia poczuła, że na dźwięk imienia Masławskiej czerwieni się i pochyliła głowę niżej nad talerzem.

Lola spojrzała z pod rzęs na bratową, a po twarzy gospodyni przebiegło lekkie, prawie niedostrzegalne drgnienie.

— Iza Masławska wychodzi za mąż?... Nie, nie słyszałam nic o tem... I za kogóż to?...

— Za barona Erwinga... Bogaty człowiek, świetnie skoligacony, dżentelmen w każdym calu...

— Ale, zdaje się, nie pierwszej już młodości...

— Jeszcze bardzo przystojny... Może się podobać... Nawet lepiej, że starszy... Młodzi takie dziwne nieraz miewają gusta... — w stronę Józi padło spojrzenie szybkie i jadowite, jak zatruta strzała — Jednem słowem, Masławska robi doskonałą partyę... Należy się jej to, co prawda... Iza dostaje pół miliona, okrągłe pół miliona...

To „pół miliona" przecięło powietrze syczącym, tryumfalnym dźwiękiem.

Józi wydawało się, że kawałek kotleta, który przełyka, dławi ją. Nóż i widelec zatrzęsły się w jej rękach.

Pani Zarnicka nie zdołała się na tyle opanować, aby w jej oczach nie rozgorzał zły płomień. Palące iskry posypały się na pochyloną głowę i jasną twarz synowej.

Józia odczuła ten wzrok, jak uderzenie.

— Tak — wyrzekła z przyciskiem pani Żarnicka — Iza jest istotnie doskonałą partyą i to nie tylko ze względu na swój majątek... To panienka skromna, dystyngowana, świetnie ułożona i wychowana... Można baronowi szczerze powinszować i pozazdrościć...

— Dużo jest takich, którzy zazdroszczą... — odparła kuzynka.

Rozmowa toczyła się dalej o tem i o owem, aż wreszcie pani domu nakierowała ją zręcznie na rozwody.

— W zasadzie jestem przeciwniczką rozwodów — mówiła — w pewnych wypadkach jednak...

— Przecież kościół katolicki nie uznaje rozwodów...

— No tak, rozwodów nie, ale unieważnienie małżeństwa w specyalnych warunkach jest dopuszczalne. Otóż sądzę, że po wojnie, te, tak zwane „wojenne" małżeństwa, zawierane nagle, bez zapowiedzi, najczęściej bez namysłu, pod wrażeniem chwili...

— Moja kochana, małżeństwo jest małżeństwem... Sakrament... Przysięga... — oponowała kuzynka.

— Nikt nademnie nie ceni więcej świętości przysięgi małżeńskiej, ale... każda reguła musi mieć swoje wyjątki... Nie można na przykład mówić o wolnej woli tam, gdzie się na kogoś wywiera przymus...

Lola już od dłuższej chwili niespokojnie kręciła się na krześle i nerwowo gniotła na obrusie gałki z chleba...

Pomimo zazdrości, która ją dręczyła, pomimo rozwijającej się coraz silniej niechęci ku Józi, rozmowa ta nie była jej przyjemną i wydawała się jej nawet wprost niesmaczną...

— Po co o tem mówić? — myślała — I to jeszcze wobec takiej plotkarki? —

Dorastająca kuzyneczka zajadała z największym apetytem kompot z suszonych śliwek i moreli, roześmianemi oczyma spoglądała na wszystkie panie po kolei, starając się widocznie podchwycić tajny sens rozmowy.

Matka zwróciła na nią nagle uwagę.

— Pas de vant l'enfant... — szepnęła cicho Zarnickiej.

Józia otwierała szeroko, coraz szerzej oczy, które tak pociemniały, że stały się jakieś czarnoszafirowe.

Z początku słuchała dość obojętnie wywodów świekry, nie rozumiejąc, w kogo one godzą...

Ale wzmianka o małżeństwie „wojennem" i przymusie, była aż nadto wyraźną.

Młoda kobieta zacisnęła zęby by zdusić krzyk, który się z gardła wydzierał i stuliła ciemnemi rzęsami obrzeżone powieki, żeby nie pozwolić wytrysnąć łzom.

Joasia weszła do pokoju, wnosząc na tacy herbatę.

W chwili, kiedy służąca stawiała przed nią szklankę, Józia podniosła się z krzesła i zmienionym, drżącym głosem powiedziała:

— Przepraszam, czuję się słabą... Nie będę piła herbaty. Dobranoc.

Nie patrząc na nikogo i nie czekając odpowiedzi, wyszła z jadalni.

Kiedy zamykała drzwi za sobą, dobiegły ją słowa kuzynki:

— Ależ twoja synowa zdaje się być nieco nieobliczalną i widocznie nie lubi się wcale krępować... Dziwne to u tak młodej osoby.

Pani Zarnicka coś na to odpowiedziała, ale co, tego już Józia nie słyszała.

ROZDZIAŁ XI.

Słońce... blask... ciepło i zieleń wokoło...

Niebo jednostajnie błękitne. W żarze słonecznym pęka ziemia.

Prawdziwy potop złotych, palących promieni oblewa trawy, kwieciem przetkane i omdlałe z gorąca — krzaki jałowcu, tarniny, dzikich róż i ostrężnic.

Trochę chłodu płynie od cienistych gajów — trochę niezdrowej wilgoci zalatuje od niewielkiego stawku, okrytego zieloną skorupą, w którym bez przerwy kumkają żaby.

Nad stawkiem rosną dużemi kępami niezapominajki.

Józia Zarnicka, nie dbając, że w bagnistym mule może zniszczyć pantofelki i przemoczyć pończochy, schyla się i zaczyna rwać błękitne kwiaty.

Po chwili głos jej świeży, czysty i dźwięczny łączy się z kumkaniem żab w stawku, świergotem ptaków w gajach i z brzękiem jakichś kos niewidzialnych, które snać opodal ścinają dojrzałe trawy.

„Rosną w polu krasne kwiatki,
Sieją woń dokoła...
Jestem sobie zza rogatki
Dziewczyna wesoła!
Tu mi słonko błysło,
Tu żyję swobodna,
Nad tą modrą Wisłą,
Co ją przejrzę do dna!...
Gdy się zrana ozwą dzwonki,
Spieszę do kościoła
I na ołtarz mej Patronki
Zbieram wonne zioła.
Nie mam ja ci biedna
Srebra ani złota,
Lecz modlitwą zjedna
Swą łaskę sierota
Żem ładna, tom zawdy
Słyszała już dzieckiem,
Mówią tak, doprawdy,
W Półwsiu Zwierzynieckiem.
Mówią tak, lecz któżby..." *)

Piosenka urwała się w pół zwrotki.

Śpiewaczka przestała układać bukiet z niezapominajek, wyprostowała się i obróciła głowę ku nadchodzącemu z kapeluszem w ręku mężczyźnie.

— A, to pan!... Skądże się pan tutaj wziął?!

— Przyszedłem tą oto drogą, prawdopodobnie tą samą, którą i pani. — odparł z uśmiechem Julian Łuniewski.

— Myślałam, że pan w biurze o tej porze...

— Uwolniłem się trochę wcześniej, bo taka śliczna pogoda, że mi się koniecznie spaceru zachciało...

Nie dodał, że mu się go zachciało, ponieważ zobaczył przez okno Józię.

— Ale, żeśmy się to tak spotkali...

— Przypadek... Cóż w tem nadzwyczajnego?

— Pewnie, że nic, tylko...

Filuterne iskierki zatańczyły w źrenicach Józi.

— Tylko?... Dlaczego pani nie kończy?...

— Bo mi się tak podoba. Nie skończę i już.

— Choćbym bardzo prosił?...

— A choćby pan nie wiedzieć jak prosił. Powiedziałam raz.

— Taka pani stanowcza?

— A tak.

— Czy zawsze?

*) Z „Królowej Przedmieścia" K. Krumłowskiego.

— O! Nie zawsze, ale w tym wypadku będę stanowcza.

— No, to niechże się pani przynajmniej ze mną przywita.

— Koniecznie panu podać rękę?

— Rozumie się.

— Zaraz, tylko kwiaty położę.

Józia złożyła swoją wiąź niezapominajek na kamieniu i wyciągnęła ku Łuniewskiemu rękę, na której jaśniała złota ślubna obrączka.

Julian chciał podaną mu małą rączkę podnieść do ust, ale młoda mężatka cofnęła ją szybko, prawie gwałtownie wyrwała z jego mocnego uścisku.

— Niech pan da spokój! Nie lubię tego!...

Zrobił zdziwioną minę.

— Ależ, pani Józiu, najpospolitszy zwyczaj towarzyski. Przecież pani jest mężatką.

— Ja uważam, że to bardzo głupi zwyczaj. Nie cierpię tego konwencyonalnego całowania w rękę. W towarzystwie zresztą, w salonie, to może ujść... Ale tak... Nie jestem jeszcze matroną...

— Z pewnością nie. — odparł Łuniewski, patrząc na jej śliczne, krwią nabrzmiałe, jak purpurowy kwiat płonące usta — Właściwie jednak nie rozumiem, o co pani chodzi?

— Jeżeli pan nie rozumie, to mniejsza z tem.

Nie chciała, nie mogła tłumaczyć się jaśniej i zarumieniona odwróciła głowę.

Schyliła się znowu po porzucone kwiaty.

— Już narwałam dosyć niezapominajek.. Idę dalej...

— Gdzie pani idzie?...

Józia zrobiła ręką ruch przed siebie.

— Daleko... Het! W pola...

— Pozwoli pani sobie towarzyszyć? — zapytał chłodnym prawie tonem, który nic nie wyrażał, oprócz najzwyklejszej grzeczności.

— Nie wiem, czy mi pan nadąży i może się pan zmęczyć zanadto...

— Pani, jak widzę, ma mnie za niedołęgę...

— Nie to, tylko, widzi pan, ja to tak... Raz idę, raz biegnę... Przytem błoto, nie błoto, strumień, nie strumień, krzaki, nie krzaki... Wszystko jedno...

— Spróbuję więc i ja powędrować przez błoto, strumienie i krzaki...

— Może pan sobie zniszczyć ubranie... Pan tak elegancko ubrany...

Krytycznym wzrokiem ogarnęła jego świeżutkie, jasno-żółte ubranie z surowego jedwabiu i eleganckie, ciemno-bronzowe „amerykany".

Łuniewski odpowiedział śmiechem na jej uwagę.

— No, o ubranie to mi już najwięcej chodzi!...

Józia machnęła ręką.

— A! Prawda... Słyszałam coś o tem, że pan ma dosyć pieniędzy, to może pan sobie naspRawiać dość ubrań. Ja, bo włożyłam stare łachy, żebym ich nie potrzebowała szanować. Muszę użyć spaceru!...

Nie przesadzała bardzo, mówiąc o starych łachach. Miała na sobie kretonową, za krótką i za ciasną sukienkę, szarą, w niebieskie, wyprane paski. Duża słomiana „pasterka" była spalona, zżółkła od słońca, a po brzegach jej gdzieniegdzie nawet strzępiła się słomka.

Płytkie, płócienne, wydeptane pantofelki odsłaniały ślicznie z rysowaną, cienką w kostce nogę i ordynarną, grubą, bawełnianą, czarną pończochę.

Tylko niezwykle zręczne i harmonijne ruchy Józi i jej specyalny, podbijający wdzięk, pozwalały, że nawet w tych „łachach" wyglądała ładnie, zgrabnie i świeżo — nie na kopciuszka, ale raczej na przebraną królewnę.

Łuniewski, patrząc na jej więcej niż skromny strój, przypomniał sobie wytworne jedwabne kostyumy, w jakich widział poprzedniego dnia panią Żarnicką i Lolę.

— No, jak pan chce iść ze mną, to idziemy!

— Poniosę kwiaty.

— Dziękuję, kwiaty to już będę niosła sama, a jeżeli pan chce koniecznie być usłużnym, to proszę wziąć tę książkę...

Podniosła, leżący w trawie, cienki, w papierowe okładki oprawny tom i podała go Łuniewskiemu.

— To pani wybrała się na czytanie?

— Wzięłam ze sobą książkę, ot, tak, od przypadku... Jakby mi się zachciało czytać...

Otworzył książkę.

— Cóż to takiego? A! Wiersze liryczne Asnyka... Pani chętnie czytuje poezye?

— Nadzwyczaj chętnie!... Jak chodziłam do szkoły, to miałam kilka grubych zeszytów przepisanych wierszy.

— A sama pani nie próbowała pisać?

Józia wybuchnęła śmiechem.

— Ja? Skądże znowu! Ja i praca literacka!... Pamiętnik, to zaczynałam pisać kilka razy, ale przestałam, bo zawsze tak się zdarzało, że wpadał w niepowołane ręce.

Szli teraz brzegiem gaju. Józia układała swoje niezapominajki, kiedy niekiedy schylając się po kiść jasno-zielonego, młodziutkiego skrzypu, którym chciała przyozdobić wiązankę.

Łuniewski przewracał od niechcenia kartki, trzymanej w ręku książki.

— Wie pani co — zaczął po chwili z żartobliwym śmiechem — zabawimy się w „wróżby", tak, jak to robią nieraz pensyonarki. Otworzę książkę na chybił trafił i przeczytam pani, co znajdę! Dobrze?...

Skinęła głową.

— Dobrze.

Przyciszonym, miękkim, aksamitnym, umiejętnie modulowanym głosem zaczął czytać:

„Patrz! Oto wiosna znów
Najsłodsze niesie ci tchnienia
I czoło twoje ocienia
Wieńcem kwitnących bzów.
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O, luba, mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów?
Czy czujesz tę woń w błękicie,
Co serca przyspiesza bicie?
O, luba, mów!

Słyszysz miłości śpiew,
Słyszysz, jak wietrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?
Słyszysz w tej cichej godzinie
Harmonię, co z serca płynie
Nadziemskich stref!

Józia czuła, że do oczu cisnęły się jej łzy. Tak bywało zawsze, kiedy słuchała muzyki albo pięknej deklamacyi.

Miała w sobie głębokie poczucie piękna, połączone z naiwną wrażliwością jakiegoś pierwotnego człowieka, nie zepsutego przerafinowaną kulturą.

A Łuniewski sztukę umiejętnego czytania posiadał w wysokim stopniu.

To też Józia, mniej zwracając uwagę na samą treść wiersza, upajała się melodyą jego głosu i dźwiękiem słów.

Kiedy skończył, żal się jej zrobiło, tak, jakby umilkła nagle cudna pieśń.

— Niech pan jeszcze coś przeczyta — szepnęła.

Przewrócił kilka kartek i czytał:

„Widzę ciebie nawpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną.
Widzę włosów splot jedwabny,
Śnieżną falą drżące łono.
I te usta, co miłośnie
Wpółotwarte chcą czarować
I rozważam: co za rozkosz,
Takie usta pocałować!...

Krew się ogniem w żyłach pali,
Chcę ten obraz pieścić wiecznie,
Lecz przy róży — pod okienkiem,
Stać młodemu niebezpiecznie.
Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,
Byłbym... byłbym już oddawna
Pod twem oknem zdeptał różę".

Nie czekając już na zaproszenie, zaczął inny wiersz:

„Ja ciebie kocham". Ach! Te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!
Miałażby wrócić wiosna nowa
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?
„Ja ciebie kocham". Czyż być może,
Czy mnie nie zwodzi złudzeń noc?
Ach! Nie, bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę..."

Józia nagle podniosła głowę, spojrzała na książkę, na czytającego i z właściwą sobie impulsywnością otrząsnęła się z wrażenia, wywołanego piękną deklamacyą.

Coś innego ją uderzyło.

— Ależ pan wcale nie czyta na chybił trafił, tylko pan wybiera!... — zawołała, przerywając Łuniewskiemu bez ceremonii.

Nie zmieszał się wcale... Śmiało spojrzał jej w oczy i spokojnie, obojętnie odpowiedział:

— Rzeczywiście, wybierałem... Więc cóż z tego? Czyżby pani istotnie o „wróżby" chodziło?

— Ech!... — Józia gniewnie ściągnęła brwi. Była poirytowana. Nie wątpiła już, że Łuniewski chce z nią „poflirtować" i gniewało ją to, że on się tak bezczelnie wykręca.

Nawet mu nawymyślać nie można, bo tak jakoś wszystko obróci, że niby niema za co!

Julian zamknął tomik i z największym spokojem schylił się po jakiś przydrożny rumianek.

Długą chwilę milczeli oboje — poważnieni.

On pierwszy przerwał tę kłopotliwą trochę ciszę.

— Kiedy nadchodziłem, śpiewała pani kuplet z „Królowej Przedmieścia"... Posłyszałem zdaleka i właśnie ta piosenka pokazała mi drogę... Domyśliłem się odrazu, co to za zwierzyniecka ptaszę wyśpiewuje...

Józia nie odpowiadała i skubała palcami puszyste kiście skrzypów.

— Czy pani uczyła się kiedy śpiewać?

— Nie.

— Szkoda...

— Dlaczego?

— Ma pani bardzo dobry materyał głosowy — mówił z obojętną miną znawcy. — Czysty i silny... Zdaje mi się, że przy odpowiedniem wyszkoleniu mogłaby pani śpiewać bardzo pięknie...

Zainteresowało ją to, co mówił, ale nie bardzo dowierzała.

Uważnie i ciekawie spojrzała mu w oczy.

— Szczerze pau mówi, seryo? Czy tylko tak sobie, jako komplement?

— Najzupełniej seryo. Czy pani jeszcze tego nikt nigdy nie powiedział!

— Nikt. Ja sama miałam ochotę uczyć się śpiewu, ale gdzieby ojciec na to się zgodził?... On nie znosi, żebym się w domu „darła", a ciotkę moje śpiewanie przyprawiało o migrenę.

— To było rzeczywiście mało zachęcające... Pozwolę sobie jednak powiedzieć, że ojczulek i ciocia nie poznali się na głosie pani... Ale to nic straconego... Pani mogłaby i teraz uczyć się...

Wzruszyła ramionami.

— Gdzie? Tu w Łykowie?... I skądbym wzięła na naukę pieniędzy?

— Czy pani zamierza długo pozostać w Łykowie?

Cień zasępienia przesunął się po twarzy młodej kobiety.

— Bo ja wiem. Chyba tak długo, dopóki mąż nie powróci. A później... to będzie zależało od niego...

Na to słowo „mąż", tak naturalne w ustach młodej mężatki, zakipiał w Łuniewskim gniew równie silny, jak nieuzasadniony.

Zapragnął zrobić Józi przykrość.

— To będzie zależało nie tyle od niego, ile od jego mamy — rzucił złośliwie.

Chciał podrażnić i oczekiwał ostrej odpowiedzi. Omylił się. Józia popatrzyła na niego bardzo smutnie i szepnęła ustami, które pobladły trochę i lekko drżały:

— Dlaczego pan tak mówi?... Po co mi pan to przypomina?...

Ten jej smutek, ta dziecięca bezradność i pokora, chwyciły go za gardło wzruszeniem.

Gdyby mógł, przepraszałby ją w tej chwili na klęczkach za to, że świadomie chciał jej dokuczyć i dokuczył.

— Takie biedne, bezbronne dziecko... Takie słodkie, świetlane stworzenie... Ją krzywdzić... jej dokuczać... trzeba być łotrem, albo małokiem!...

Ujął rękę Józi, której mu teraz nie broniła, i lekko, delikatnie dotknął jej ustami.

— Przepraszam panią... byłem brutalny i... głupi... Proszę mi darować...

Nie odpowiedziała... Pochyliła głowę ku trzymanym w ręku kwiatom i zamyśliła się jakoś niewesoło.

Zostawili już poza sobą gaje. Z pośród pasma łąk i pastwisk wydostali się teraz na ścieżkę, wijącą się pomiędzy uprawnemi polami.

Witały ich spokój, cisza, słońce i młode zboża. Ludzi nie było widać.

Józia gwałtownym ruchem zerwała kapelusz z głowy, który miała założony po pensyonarsku, bez szpilki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa wyrobów na drzewko w Nowym Sączu.

Liga Pomocy przemysłowej dokłada wszelkich starań, aby choć w części przyjść z pomocą ludności nawiedzonej klęską wojny, a przy tej sposobności przyczynić się także do podniesienia swojskiego przemysłu nie mogącego jeszcze konkurować z wysoko rozwiniętym przemysłem krajów ościennych.

Wystarczy zwrócić uwagę, choćby tylko na tę okoliczność, iż na taką drobnostkę, jak ozdoby na drzewko, szły corocznie tysiące za granicę, a w zamian otrzymywało się tylko lichą tandetę, bez żadnej artystycznej wartości.

Sprawą tą zajęła się więc Liga Pomocy przemysłowej i ujęła ją w swe ręce, urządzając w różnych miastach Galicyi kursy wyrobów na drzewko. Przedsięwzięcie powiodło się pod każdym względem, a korzyść dla społeczeństwa polskiego podwójna, pieniądze bowiem zostaną w kraju, a mniej zamożna ludność znajdzie bardzo łatwe a popłatne źródło zarobkowania.

Liga Pomocy przemysłowej zrobiła swoje, reszta należy już do ogółu, który powinien poprzeć usiłowania szlachetne. Jeśli kogo w tych ciężkich czasach stać na to, by swym pociechom sprawił na święta Bożego Narodzenia prawdziwą przyjemność, niechaj w ozdoby na drzewko zaopatruje się tylko w tych składach, które dostarczają tego rodzaju wyrobów, pochodzących z pracowni krajowych, utworzonych przez Ligę.

Przed niedawnym czasem urządziła Liga Pom. przem. kurs wyrobów na drzewko w Nowym Sączu, przy współudziale tamtejszej Ligi Kobiet i Towarzystwa pomocy przemysłowej. Kurs, w którym wzięło udział kilkanaście uczenic, pozostawał pod fachowem kierownictwem panny Mędralanki, a powiódł się doskonale, czego dowodem piękna wystawa prac kursistek, zwiedzana bardzo licznie przez nowosądecką i okoliczną publiczność.





Wystawa wyrobów na drzewko w Nowym Sączu: Grupa uczenic Kursu wyrobów na drzewko wraz z inicyatorami i kierownikami. Lokal wystawy, z kierowniczką Kursu, p. Meudralanką.

Kolonia wakacyjna w Kochanowie.

Dzięki zabiegom Towarzystwa kolonii wakacyjnej w Kochanowie i Zjednoczonych komitetów parafialnych w Krakowie, dwieście dzieci z Krakowa przepędzić mogło wakacye w kolonii w Kochanowie. Blisko Krakowa, tuż za Zabierzowem, u stóp lesistej góry, w dolinie Rudawy, posiada kolonia własny, obszerny budynek z kompletnem urządzeniem. W otoczeniu świerków, w balsamicznem powietrzu, przesyconem zapachem lasów i pól, należycie odżywiana, wzmacnia dziatwa wątłe swe siły, a czas, tu przebyty zaliczać będzie do najmilszych w swem życiu.

W pierwszych dniach września odwiedził kolonię namiestnik, ekscellencya hr. Huyn, z żoną, w towarzystwie radcy dworu G. Brücknera oraz ks. Jana Rzymełki. Przybyły również niezmordowane opiekunki dziatwy, p. wiceprezydentowa Zollowa, p. Fischerowa i p. Michałowska, które zewsząd gromadziły prowianty, aby dziatwę należycie odżywić. Zarząd kolonią spoczywał w doświadczonych rękach wiceprezesa Towarzystwa prof. Teofila Orszulskiego i jego żony, którzy od szeregu lat z całem oddaniem się kolonią kierują. Dziatwa przebywała w Kochanowie przez miesiące: lipiec, sierpień do połowy września.



Kolonia wakacyjna w Kochanowie: Dziatwa kolonii. W pośrodku namiestnik, hr. Huyn, z małżonką i wiceprezydentowa Zollowa.



Kolonia wakacyjna w Koobanowie: Scena z obrazka „Sen uśpionej dzieweczki", odegranego przez dziatwę.

Republika rosyjska.

Chociaż wiadomości z Rosyi nadchodzą skąpe i bardzo trudno skontrolować ich wiarygodność, jest zdaje się, pewnem, że próba zamachu stanu podjęta przez jen. Korniłowa nie miała powodzenia. Zdaje się, że liczył zanadto na swoją popularność w armii, gdy tymczasem przeważające tam obecnie elementy są całkowicie przejęte duchem rewolucyjnym. Nie wiemy dotychczas, jaki był przebieg całego zajścia, gdyż sprawozdania dzienników zagranicznych są niejasne i sprzeczne; zdaje się jednak, że zbrojne starcia, o ile do nich przyszło, ograniczyły się do nieznacznych potyczek przednich straży. Korniłow maszerował z kilku pułkami na Petersburg, aby, jak twierdził, stłumić tam rozruchy maksymalistów. Dotarł do Ługi i Gatczyny w odległości 40 klm. od Petersburga; tam miały go odstąpić oddziały, które z nim szły dotychczas, dowiedziawszy się od delegatów petersburskich o „prawdziwych" zamiarach jenerała. Korniłow został uwięziony, a władza pozostała w rękach Kiereńskiego, który utworzył nowy „wojenny" rząd, złożony z pięciu, czy sześciu ministrów, których sobie sam dobrał.

Wystąpienie Korniłowa było oczywiście przedwczesne i rozpoczęte bez dokładniejszego obliczenia sił obu obozów. Jego porażka przyspieszyła tylko dawno zapowiedziane proklamowanie republiki, którą nowy rząd ogłosił co prędzej, aby odrazu odjąć propagandzie monarchicznej podstawy legalne. Dotychczas bowiem monarchiczna forma rządu nie została urzędownie zniesiona, a rewolucyoniści nie mieli ustawowego pretekstu do ścigania zwolenników monarchii. Ogłoszenie republiki dostarczyło go rządowi i radom robotniczym, które obecnie reprezentują jedynie prawodawcze, zorganizowane ciało w Rosyi. Odtąd zatem agitacya za monarchią będzie uważana jako zbrodnia stanu, co do pewnego stopnia odstraszy wielu zwolenników dawnego systemu od jawnego działania. Role będą więc zamienione; teraz monarchiści zaczną konspirować, a republikanie zastosują przeciw nim te wszystkie środki, jakich aż do wybuchu rewolucyi używała monarchia przeciwko politycznym spiskowcom.

Kompania atakowa.

Sposoby walki już w ciągu obecnej wojny uległy zasadniczym zmianom. Ciągłe doskonalenie się broni, nowe narzędzia śmiercionośne, niemal z dnia na dzień zmieniają fizyognomię bitwy. Armie muszą wciąż przystosowywać swą organizacyę do tych ulepszeń w technice prowadzenia walki. Wśród tych zmian reorganizacyjnych, powstały w ostatnich czasach tak zwane kompanie atakowe (szturmowe), składające się z wyborowych żołnierzy i specyalnie w tym celu wyszkolonych. O zadaniach i sposobach walki kompanii szturmowej daje pojęcie opis ataku, dokonanego przez taką kompanię na froncie zachodnim.



Kompania atakowa: Kolumna szturmowa idąca do atakn na druty kolczaste. (Fot. Bufa).

„Od czasu ostatniej wycieczki — czytamy w tym opisie — na naszym odcinku panował względny spokój. W bezpiecznem oddaleniu poza frontem spoczywała kompania atakowa i czekała na nowy rozkaz do pracy. A tę już przygotowywano. Dowiedzieliśmy się o tem ubocznie. Dzisiaj rano zjawił się nasz komendant, zrobiono apel i komendant rozpoczął w te słowa: „Moi drodzy, mamy znowu wykonać mały ataczek. O co chodzi, nie potrzebuję wam objaśniać, znacie waszą powinność. Posłuchajcie..." Na podstawie specyalnej karty rozpoczął wykład, wskazując, gdzie i jak mamy wykonać naszą robotę. Przedewszystkiem pouczył starszyznę. Punkt po punkcie tłumaczył im sytuacyę. Wreszcie: „Do jutra!"

Po apelu, w grupkach, już ubrani w atakowe mundury, omawialiśmy przedsięwzięcie. Rady wojenne w miniaturze. Wszystko omówiliśmy dokładnie między sobą. Tego rodzaju porozumienie między członkami wyprawy, gdzie każdy ma pracować samodzielnie, jest koniecznem. Każdy musi znać dokładnie swe zadanie i tylko w takim razie powodzenie jest zapewnione, a dowódca może liczyć na swoich ludzi.

Pod osłoną nocy dotarliśmy do przedniej pozycyi. Anglicy bili ogniem rozsypkowym, to też zajmowanie pozycyi odbyło się w tyralierce. Bez strat dotarliśmy do przodu. Dokładne obserwacye ustaliły już poprzednio, gdzie są najsłabsze punkty linii nieprzyjacielskiej. Ściśle oznaczono miejsca wypadu. Czekaliśmy do świtu, a w tym czasie jeszcze



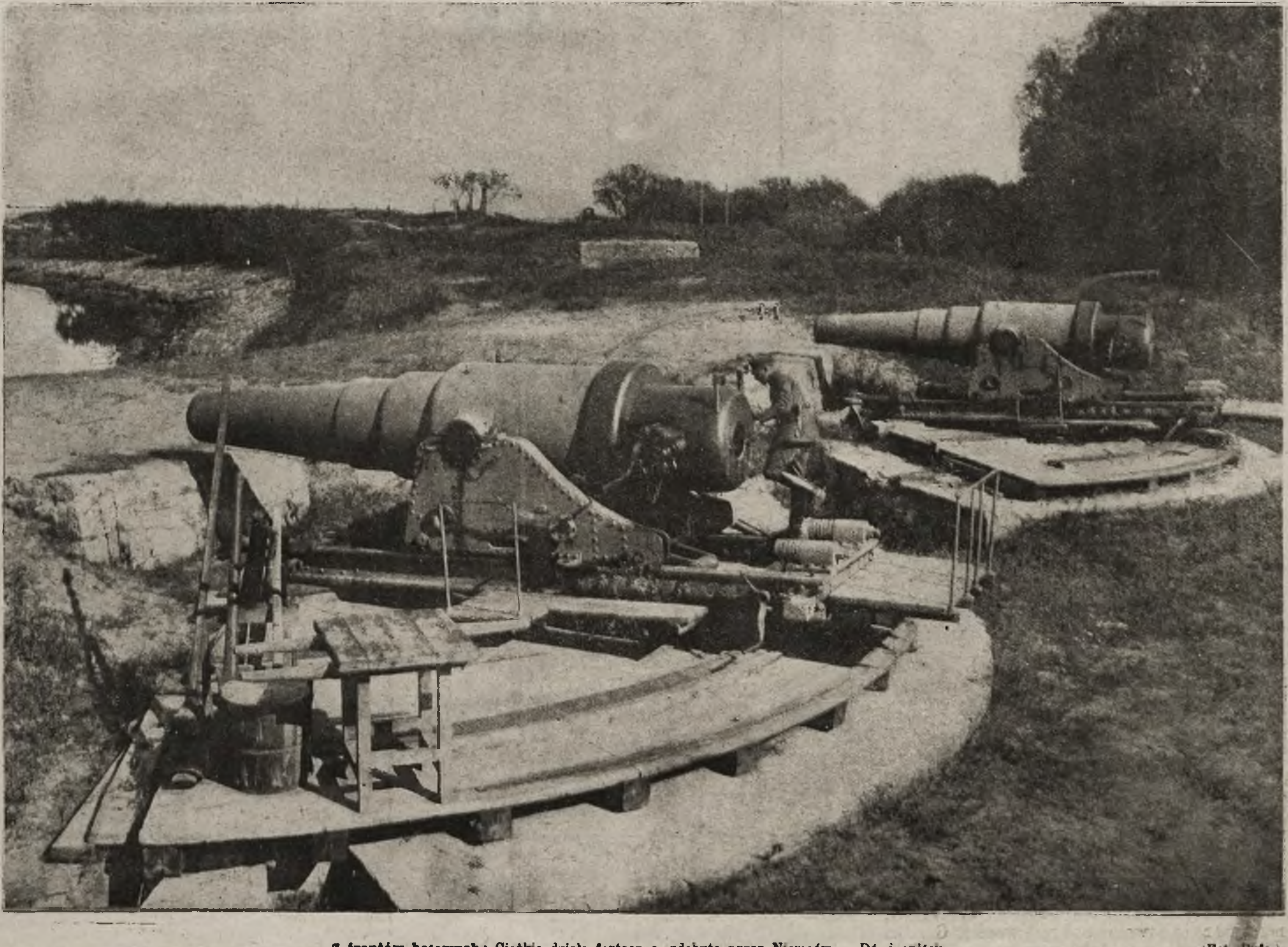
Republika rosyjska: Zdobyty przez Niemców sztantar rosyjski z napisem: „Niech żyje demokratyczna republika i międzynarodówka. (Fot Bufa).



Miły gość na Wawelu: Biskup sandomierski, ks. Maryan Ryx (w środku) w towarzystwie J. E. księcia biskupa Sapiehy i sekretarza odbudowy Wawelu, p. Adama Bogdaniego.



Z frontów bojowych: Widok z okna zburzonego pociskami domu na ruiny miejscowości Givonne na zachodnim froncie. (Fot. Bufa.)



Z frontów bojowych: Ciężkie działa forteczne, zdobyte przez Niemców w Dźwinoujściu. (Fot. Bufa.)



Z polskich pobojowisk: Zburzone domy w Sołotwinie.

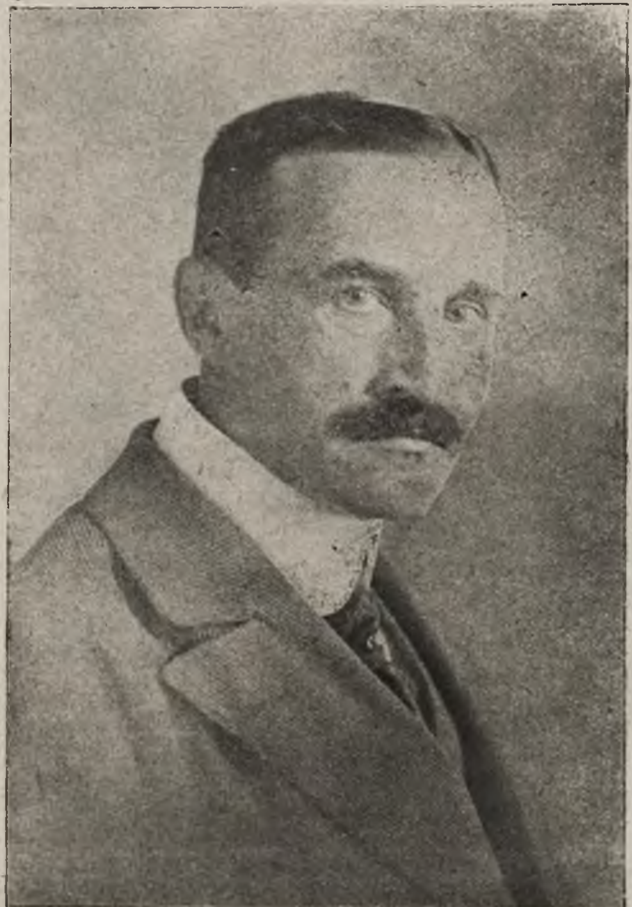


Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Reżyser Józef Sosnowski

raz zbadano dokładnie położenie. Tu i ówdzie zapłonęły papierosy, skrzętnie ukrywane poza osłonami. Od czasu do czasu zrywała się wzdłuż linii stłumiona rozmowa.

U nieprzyjaciela panował zupełny spokój. Niedaleko od nas okopywali się. Słychać było w nocnej ciszy uderzenia łopat i dźwięk naczyń metalowych. Widocznie otrzymali pożywienie. Nawet pojedyncze słowa, głośniej wymówione, dochodziły wyraźnie.

Jeszcze trzy minuty! Wszyscy stanęli w pogotowiu. Teraz... Rozległ się cichy sygnał! Jak węże przewinęliśmy się pomiędzy własnymi drutami. Na czworakach pełzaliśmy po przez pole lejów, błotem napełnione doły, bacząc jedynie na to, aby linia tyralierska była zamknięta. Czuliśmy, że tam z tyłu czekają z niepokojem na chwilę stanowczą. Od strony nieprzyjaciela nie padł jeszcze ani jeden strzał. Dotarliśmy do zasieków nieprzyjacielskich, wszystkie



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Dyrektor Adam Grzymała Siedlecki.

obliczenia zgadzały się. Nagle świst przeszył powietrze. Dano znak. Zerwaliśmy się wszyscy, kozły hiszpańskie nieprzyjaciela rozleciały się na wszystkie strony. Na prawo i lewo buchnęły płomienie miotaczy ognia, jeden skok jeszcze... i zdumieni Anglicy ujrzeli przed sobą całą naszą kompanię. Zaskoczeni zostali tak nagle, że nie zdążyli nawet podnieść rąk na pardon. Szybko zwijaliśmy się. Kilku jeńców pospiesznie uprowadzono, każdy łapał, co mu z uzbrojenia wroga pod ręce wpadło. Garstka Anglików stawiła opór, lecz drogo go okupiła. Inni ratowali się ucieczką, wyskakując z rowu, lub uciekając przez łączniki. Ponieśli na tyły wieść o napadzie.

Zanim nieprzyjaciel się spostrzegł, co się stało, pędziliśmy już z powrotem, unosząc naszą zdobycz. Goniły nas salwy artyleryi i huk karabinów maszynowych. Anglicy szybko pościągali rezerwy. Zanim dosięgły nas śmiercionośne pociski, dotarliśmy już do naszego okopu. Przeliczyliśmy się, nikogo nie brakło. Obfite śniadanie było bardzo pożądaną nagrodą za trudy".



Z frontów bojowych: Atak przy użyciu miotaczy ognia nad Soczą (Woj. kwat. pras.)

Miły gość na Wawelu.

Dla każdego z przyjezdnych, zwłaszcza zaś Polaka, jest Kraków niewyczerpaną skarbnicą pamiątek, a głównym i prawdziwym wśród nich klejnotem jest Wawel.

Każdy też z obcych, bawiąc w Krakowie, uważa za swój pierwszy obowiązek zwiedzić tę prastarą siedzibę naszych królów, odzyskującą zwolna, ale stale swój dawny majestat i wspaniałość.

W ostatnich czasach bawił w naszem mieście w przejeździe biskup sandomierski, ks. Maryan Ryx.



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Sekretarz, Stefan Nowiński.

W czasie swego pobytu zwiedził też dostojny, a miły gość między innemi zamek królewski i katedrę na Wawelu, oprowadzany przez J. E księcia biskupa krakowskiego Sapiehę i sekretarza odbudowy p. Adama Bogdaniego.

Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego.

Trzy lata wojny dały się odczuć także i w naszym Domu Fredry; zaznaczyły się one początkowo rozbiciem trupy, nawet „wyewakuowaniem“ dzieci Melpomeny z ich gmachu na korzyść stacyonowanego w nim przez jakiś czas wojska, a ostatnio



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Reżyser, Aleksander Zelwerowicz

dopiero wolnem, lecz systematycznem przystosowaniem się naszego dramatu do obecnych warunków.

Prowizoryum wojenne, jakie zastało ś. p. dyr. Pawlikowskiego w roku 1914, towarzyszyło jego działalności aż do śmierci tego nieodżałowanego kierownika, jak również i jego następcy, dyr. Lucyanowi Rydlowi. Dopiero od objęcia dyrekcyi przez Adama Grzymałę Siedleckiego, a zwłaszcza od obecnego sezonu, można mówić o właściwem życiu i twórczej pracy teatru im. Juliusza Słowackiego.



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Amalia Rotter

Po pokaźnym, jak na warunki wojenne, artystycznym bilansie roku ubiegłego, rozpoczął dyr. Siedlecki sezon bieżący pod rozsiewanemi złemi wróżbami; ustąpienie bowiem kilku artystów ze szczupłego grona dotychczasowego, napełniało wielu obawą rozbicia naszego ensemblu, a tem samem uniemożliwienia dalszej funkcyi teatru.

Zaradziła temu jednak energia dyr. Siedleckiego i sympatya, jaką ma wśród prawdziwych artystów. W ciągu wakacyi zdołał skomunikować się i porozumieć z największem centrum artystycznem — Warszawą i, wykorzystując okoliczność rozbicia tamtejszego Teatru Polskiego, pozyskał dla naszej sceny najwybitniejsze jego siły. Są wśród nich nasi dobrzy znajomi, pp. Józef Sosnowski, filar naszego dramatu i tragedyi, p. Aleksander Zelwerowicz, jeden z najświetniejszych komików polskich, p. Stanisław Jarmiński, pamiętny u nas nieprzeciętnem rozpoczynaniem karyery, a ostatnio współkierownik teatru Zrzeszenia. Z nieznanych u nas, pozyskano p. Amalię Rotter, „grande coquette“ i charakterystyczną teatru Polskiego, tamtejszego amanta pierwszego, p. Aleksandra Węgierko, pierwszorzędnego artystę w zakresie ról bohaterskich, p. Edwarda Zyteckiego i kilku innych, młodszych, ze scen Królestwa Polskiego.

Wrócił także na scenę, służący dotychczas w Legionach, p. Włodzimierz Kosiński, tak, że teatr nasz ma obecnie ośmiu amantów i dwóch tak wybitnych komików, jak p. Feldmann i Zelwerowicz. W dramacie na pierwszem miejscu wymienić należy, obok p. Sosnowskiego, p. Leonarda Bończę, a panie: Bednarzewska, Solska, Jarszewska, Czaplińska, Kamińska, Łuszczkiewicz, Zarzycka i Kosmowska zapewniają każdej sztuce doskonałą obsadę. To też zespół obecny (20 panów i 16 pań) przypomina swym składem najświetniejsze chwile naszego teatru przed laty i śmiało można już mówić o skończeniu się przejściowego okresu, bo zainaugurowany „Panem Damazym“ J. Blizińskiego sezon obecny daje początek istotnie nowej erze.

Podajemy w tym numerze fotografie kilku najwybitniejszych sił, pozyskanych świeżo dla naszej sceny, oraz dyr. Siedleckiego i jego dzielnego pomocnika, sekretarza p. Stefana Nowińskiego.



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Stanisław Jarmiński.



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Aleksander Węgierko.



Nowy sezon teatru im. Juliusza Słowackiego: Włodzimierz Kosiński w mundurze Legionisty

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

17

— Cóżby pani uczyniła? — spytał Lambertin, czując przyspieszone bicie serca.

— Ach! Byłabym mu dała całe skarby przywiązania i miłości, które uzbierałam jak skąpiec, nie rozdawszy ich dotąd nikomu, z obawy, aby nie być zrozumianą. Ale to szaleństwo z mojej strony, marzyć o czemś podobnem i takiego człowieka...

— Gdyby tylko pani chciała! — ośmielił się Lambertin, czerwieniąc się gwałtownie.

— Czyż pan seryo o tem myśli? — rzekła Berta, przymykając oczy, jak gdyby chciała zatrzymać w nich na zawsze widzenie jakieś rozkoszne.

— Kocham panią!

— Tak! Powiedział mi to pan już raz i wierzę panu. To nawet sprawia mi pewną ulgę i przyjemność, że wierzyć panu mogę. Pan chociaż jeden nie kłamie, czuję to i po raz pierwszy, doprawdy, jestem prawie szczęśliwa. Ach! Gdyby pan nie był związany z tą nędzną prowincyą! Ale nic! To, co mówimy jest poprostu szalone! Przestańmy marzyć i powróćmy do rzeczywistości! Ale, kochany panie, proszę tak gwałtownie nie całować moich rąk. Te pocałunki odbierają mi przytomność umysłu, której obecnie bardzo potrzebuję. Proszę pana, skończmy już z tem wszystkiem i mówmy o czem innem.

Lambertin, nie zważając na słowa młodej kobiety, ujął teraz obydwie jej ręce i pokrywał je gwałtownymi pocałunkami. Oczy jego błyszczały niezwyczajnym blaskiem, a w całej twarzy przebijał wyraz zuchwalstwa i silnego postanowienia. Zapomniał się nawet do tego stopnia, że po chwili objął ramieniem Bertę, szepcząc jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Młoda kobieta zdawała się być zmieszana; widocznem było, że Lambertin jej się podoba i zachowanie jego nie sprawia jej przykrości. Nigdy jeszcze nie czuła się kochaną z tak przenikającą serdecznością i ten objaw nieznany porywał ją mimowoli. Dotąd bowiem przyzwyczajoną była do czegoś zupełnie innego ze strony swoich przyjaciół i kochanków. Nie zdając sobie sprawy, dawała się porywać urokowi tej chwili, tonąc w miłem upojeniu, pełnem nieprzeżytych dotąd wrażeń. Za wywołanie w niej tego niespodziewanego nastroju uczuła ogromną wdzięczność dla Lambertin'a.

Jednakże usiłowała go odepchnąć od siebie, ale tak słabo, jak gdyby jej do tego sił zabrakło.

— Panie Lambertin — szepnęła wkońcu — niechże się pan opamięta, proszę. Dosyć już tego! Dosyć! Trzeba przecież być rozsądnym.

— Nie! — odparł Lambertin z niebywałą energią — Niech mnie pani przez litość nie odpycha od siebie! Berto! Błagam panią, pozwól się kochać!

— Ale cóż z tego wyniknie? — wymówiła smutnie — Odjeżdżam jutro.

— Pojadę za panią!

— Do Paryża?

— Gdzie tylko pani zechce.

— Pan jest szalony! To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Zapomina pan o rzeczywistości.

— Może mnie pani uczynić najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

— Mój Boże! Chciałabym to uczynić z całego serca, bo czuję się wobec pana sobą i wiem, że źle czynię, pozwalając panu na takie szaleństwa. Ale trzeba być rozsądnym. Jest jeszcze coś więcej, poza naszą osobistą wolą i pragnieniem...

— Gdyby mnie pani kochała, zniknęłyby wszystkie przeszkody!

— Dosyć, już dosyć! Czy nie widzi pan, czy pan nie rozumie, co się ze mną dzieje?! — zawołała młoda kobieta ze drżeniem w głosie.

— Berto!

— Gdybym pana nie kochała, czyżbym pozwoliła na te pieszczoty, czyżbym panu pozwoliła wymówić te słowa, które napełniają mnie wzruszeniem i nieznaną trwogą?

Zanim jeszcze dokończyć mogła, Lambertin rzucił się ku niej z szalonym okrzykiem radości i objął ją gorącym uściskiem swoich sprężystych ramion.

— Tak! Berto! Kochasz mnie także! — wyszeptał — Kochasz mnie, a ja już cały należę do ciebie... Posłuchaj mnie... Gdziekolwiek mi każesz pójść, pójdę — cokolwiek mi rozkażesz uczynić — uczynię. Jestem twój... twoją własnością. Jeżeli zechcesz być moją, przysięgam, że twoja wola będzie moją wola i nigdy jeszcze żadna kobieta nie była tak kochaną, jak ty będziesz!

Młoda kobieta z początku nie opierała się bardzo i poddawała się porywowi Lambertin'a, ale kiedy spostrzegła, że on traci już przytomność umysłu, odzyskała momentalnie panowanie nad sobą, wyślizgnęła się łagodnie z jego ramion i pobiegła schronić się na drugi koniec buduaru.

— Widzi pan — rzekła, nie przestając się jednak uśmiechać — że nadużywa pan sytuacyi. Obawiałam się właśnie tego i nie życzę sobie wcale, aby się to powtórzyć miało.

— Ach! Zanadto pani okrutna dla mnie! — zawołał Lambertin.

— Proszę mnie posłuchać...

— Co może pani mieć mi do powiedzenia? — zapytał silnie rozdrażniony.

— Mam do powiedzenia rzeczy całkiem rozsądne.

— Ach! Tak, rozsądne.

— Cierpliwości! Ulegliśmy oboje nastrojowi chwili, a przecież oboje mieliśmy omówić pewne ważne sprawy. Nie trzeba o tem zapominać, panie Lambertin.

— Pani życzy sobie abyśmy mówili o testamencie? — zapytał zmienionym głosem Lambertin.

— Czy pan sądzi, że nie jest to kwestya interesująca mnie bardzo?

— To prawda! Ale potem?

— Potem? Potem, to zobaczymy, niech pan mi zaufa tylko i będzie przekonany, że nie cofam ani jednej ze swoich obietnic.

— Ach! Jaka pani dobra!

— Cieszy mnie przekonanie, że pan rozsądniej już zapatruje się na naszą sprawę. Niech pan teraz siądzie bliżej mnie i powie wszystko, co wie. Pułkownik oznajmił mi, że pan dziś przyniesie ze sobą wszystkie papiery, odnoszące się do sukcesyi Bonneta. Czy ma je pan?

— Oto są.

— Doskonale. Ale wie pan, kobieta taka, jak ja, niewiele się rozumie na podobnych zawiłych sprawach. Musi mi pan to wszystko dokładnie i jasno wytłumaczyć. Dobrze?

— Z całą przyjemnością.

— Podobno jest jakieś dziecko, które Bonnet uznał za swoje.

— Tak jest.

— I ten Bonnet, który zniknął zupełnie z Francyi, uczynił testament na jego korzyść.

— Rzeczywiście.

— Czy pan ten testament ma tutaj?

— Nie przyniosłem testamentu, bo to jest akt ważny, który nie może być poruszony z biura notaryalnego, ale odszukałem kopie i przeglądając je, będzie pani mogła łatwo się przekonać, że wszystko zostało przewidziane i zrobione z drobiazgową starannością i, że w dniu śmierci Bonnet'a, sukcesya po nim przypadnie bez przeszkód żadnych spadkobiercy, wyznaczonemu przez niego w testamencie.

— I ten spadkobierca egzystuje?

— Tak mówią.

— Ale zdaje się, że pan nie jest tego pewnym. Czy pan go zna?

— Mieszkał podobno w Saint Nicolas, ale od lat kilku przeniósł się gdzieindziej.

— Gdzież się udał?

— Tego nikt nie wie.

— Ale odnajdą go bez trudności w dniu, w którym sukcesya ogłoszona zostanie.

— To bardzo prawdopodobne.

Młoda kobieta zastanawiała się przez chwilę. Pułkownik Robert przygotował ją dobrze do tej rozmowy i nie chciała pominąć ani jednego zapytania, które miała zadać pomocnikowi notaryusza.

— A więc — podjęła po dłuższej chwili — sytuacya jest bardzo jasna i zdaje się, że nikt z dalszych krewnych odziedziczyć tego spadku nie może. Na to by potrzeba, nieprawdaż, żeby testament nie istniał wcale lub żeby prawdziwy spadkobierca umarł?

— Oczywiście! — przytaknął Lambertin — A z tych dwóch hypotez jedna jest tylko prawdopodobną.

— Któraż więc? — zapytała Berta z żywem zaciekawieniem, pochylając się ku Lambertin'owi.

— Śmierć tego dziecka.

— Ma pan słuszność... a jednak... nie byłoby również niemożliwe, aby testamentu nie było... aby zniknął...

— Jakto?

— Ach! Mój Boże. Przecież to łatwo mogłoby się stać. Czy ogień nie mógł zniszczyć papierów w biurze pana Durandeau? Czyżby ktoś interesowany... nie mógł...

— Co znowu! Jak pani może coś podobnego przypuszczać.

— Widziano już fakta bardziej ciekawe i nieprawdopodobne.

Lambertin potrząsnął głową.

— Jeżeli pani liczy tylko na pomoc tego rodzaju — rzekł poważnie — powinna pani zrezygnować ze spadku.

— To szkoda — westchnęła Berta — bo mówią, że Bonnet był kolosalnie bogaty.

— Rzeczywiście.

— Opowiadają o jakichś kilkudziesięciu milionach. Wystarczyłoby dla całej rodziny. Co do mnie, przyznaję szczerze, że z przykrością zrezygnowałabym ze swojej części. Już tyle projektów utworzyłam na ten rachunek. Przedewszystkiem byłabym opuściła Paryż. Schroniłabym się gdzieś za granicę, do jakiegoś słonecznego, pięknego kraju, z kimś, któregobym kochała. I żyłabym tylko dla tego człowieka, poświęcając mu cały majątek, z myślą tylko o jego szczęściu. Ładne marzenie, nieprawdaż? Takie życie we dwoje, zdala od świata, w zapomnieniu zupełnem, zamknięte w egoistycznem uczuciu, które nic od drugich nie wymaga, bo wystarcza samo sobie. I pomyśleć, że to mogło być prawdą, że na urzeczywistnienie tego marzenia potrzebaby tak niewielkiej rzeczy... zniknięcia testamentu... Ale wkońcu, czy pan jest całkiem pewnym, że istnieje naprawdę?

— Oh! Tak! Zupełnie pewnym! — zawołał Lambertin z przekonaniem.

— Kto to panu powiedział?

— Pan Durandeau.

— Znane jest panu miejsce, gdzie ten testament jest złożony?

— Zapewne.

— Czy jest on identyczny z odpisami, które pan przywiózł ze sobą?

— Tak sądzę, bo nie widzę powodu, dla którego miałoby być inaczej.

— Ach! Jakżebym pragnęła mieć ten testament w ręce, aby się przekonać, czy zgodny jest z kopią. Czy pan tego nie może dla mnie uczynić?

Berta, mówiąc to, przysunęła się jeszcze bliżej do Lambertin'a, pod pretekstem przejrzenia z nim razem papierów, które trzymał w ręce, a chcąc je odebrać ujęła równocześnie ręce młodego człowieka.

Lambertin zadrżał pod tem dotknięciem i doznał jakby olśnienia.

— To, czego pani żąda odemnie, jest niemożliwem! — rzekł z westchnieniem.

— Dlaczego? Przecież nikt nie zamyśla zniszczyć tego testamentu! — mówiła przekonywująco Berta — Chodzi tylko o porównanie.

— Byłoby to nadużycie zaufania.

— Któżby o tem wiedział? Pan tylko i ja. A byłabym panu tak wdzięczna.

Pochyliła się tak nisko nad nim, że włosy jej dotknęły rozpalonego jego czoła. Skurcz nerwowy przebiegł twarz Lambertin'a. Chciał powstać, ale Berta zatrzymała go.

— Jest pan dużem dzieckiem — rzekła ciepłym, niskim głosem, który brzmiał jak rozkoszna pieszczota — ale nie chcę nalegać. Tylko, proszę zapamiętać sobie dobrze to, co powiem. Ja chcę widzieć ten akt, słyszy pan! Jest to może kaprys, nieostrożność, szaleństwo... wszystko, co pan chce... ale w dniu, w którym przyniesiesz go do mnie do przeczytania... w tym dniu będę cię kochać tak, jak jeszcze nigdy dotąd kochany nie byłeś. Czy ty to rozumiesz?

Dotknęła gorącemi ustami czoła młodego człowieka i, wyrwawszy się z jego objęć, wybiegła szybko do sypialnego pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Cele wojenne koalicyi.

Podczas manifestacyi w sprawie celów wojennych w Leeds, były angielski prezydent Asquith wygłosił mowę, w której powiedział:

„Zgromadzenie to jest krokiem w akcyi, urządzonej w całem państwie przez wydział wielkich stronnictw, aby teraz, po rozpoczęciu się czwartego roku wojny, wpoić w ludność jasne i zupełne zrozumienie celów wojennych koalicyi.

Walczymy o pokój — o pokój świata całego — wart wszelkiej ofiary, wyjąwszy ofiarę tego wszystkiego, co pokojowi nadaje wartość i trwałość jego zabezpiecza. Takiego pokoju niepodobna znaleźć tam, gdzie przedtem często go szukano — w zaprzestaniu kroków nieprzyjacielskich i w rokowaniach, których skutek wyniknąłby z szeregu sprawozdań i układów, a następnie był zdany na łaskę niezliczonych przypadków. Tem mniej możemy się spodziewać pokoju, możliwego do przyjęcia po traktacie, narzuconym zwyciężonym przez zwycięzców. Takie traktaty mają w sobie zadatek śmierci.

Macie panowie trafny przykład niedorzeczności takich umów w traktacie z 1871 r., w którym zwycięskie Niemcy obstawały przy przywłaszczeniu sobie obu prowincyi, Alzacyi i Lotaryngii, wbrew woli mieszkańców tych prowincyi. Dobrze będzie przypomnieć dziś sobie, że dwaj najwięksi mężowie niemieccy, Bismarck i Moltke, przewidywali następstwa tego pokoju, każdy ze swego odrębnego stanowiska.

Bismarck skłaniał się ku pozostawieniu Francyi Metzu i zauważył wobec publicysty Buscha, że nie życzy sobie mieć w swoim domu za dużo Francuzów.

Moltke, w niespełna 4 lata po zawarciu pokoju, powiedział w sejmie Rzeszy niemieckiej, że Niemcy muszą przez 50 lat być silnie uzbrojone, aby obronić dwie prowincye, które zdobyły w ciągu niecałych 6 miesięcy.

Czy kiedykolwiek przepowiednię jakąś potwierdził lepiej bieg wypadków?

Czytaliśmy w ostatnich dniach odpowiedź nowego kanclerza na notę pokojową papieża. Roi się w niej od niejasnych ogólników. Rząd niemiecki powiada, że ze szczególną sympatyą wita poglądy papieża i oświadcza, że cieszy się z tego, że wojna ma być zastąpiona sądami rozjemczymi, oraz chce poprzeć wszelkie propozycye w tej mierze, zgodnie z „żywotnymi interesami Rzeszy niemieckiej i narodu niemieckiego". Czy zwróciliście panowie uwagę na to znamienne zastrzeżenie? Zapytuję, czy w depeszy kanclerza, albo w jakiemkolwiek innem decydującem oświadczeniu rządu niemieckiego mieści się wskazówka o gotowości jego nie tylko do niepowiania zbrodni z r. 1871, lecz także do poczynienia w praktyce kroków, które jedynie mogą otworzyć drogę do trwałego pokoju? Czy Niemcy są gotowe oddać, co wówczas zabrały Francyi, czy są gotowe zwrócić Belgii pełną niepodległość bez warunków i dać odszkodowanie? Ostateczna odpowiedź, jaką możnaby dać przez szereg odpowiedzi na takie pytania, jak przytoczone, przepełniłaby całą kartę pustemi banalnościami.

Pruski militaryzm był przedmiotem naszej walki i pozostał nim. Dla demokracyi niemieckiej nie mamy jednak innego życzenia, jak tylko, aby tego złego ducha wypędziła.

Celem naszego pokoju nie jest przywrócenie *status quo*, ani też dawnej równowagi mocarstw, lecz zastąpienie obu tych rzeczy systemem międzynarodowym, w którym znalazłyby miejsce wielkie i małe państwa, któryby im zapewnił równe bezpieczeństwo i niezawisły rozwój. Rzeczą zrozumiałą z samej siebie jest opróżnienie obsadzonych obszarów Francyi i Rosyi. Wskazałem już na Alzacyę, Lotaryngię i Belgię, lecz, gdziekolwiek zwrócimy wzrok na Europę środkową i wschodnią, widzimy obszary odgraniczone, które w swoim zaczątku były sztucznymi i naruszały interesy i życzenia bezpośrednio dotkniętej ludności, tworząc tem samem ogniska niepokojów i niebezpieczeństwo wojny i które tak długo temi ogniskami pozostaną, jak długo będą istnieć. Tu należą dawno płatne pretensye włoskie i rumuńskie, bohaterska Serbia, nadto należy tu Polska, co do której podpisujemy wszystkie szlachetne słowa Wilsona. Nie wolno zapominać o Słowianach południowych i Grecyi.

Musi się dokonać całkowite, o ile możności trwałe wyrównanie tych rachunków. Nie może dłużej pozostać celem to, z czego wyszedł kongres wiedeński, a potem t. zw. święty alians. Przewodnią zasadą jest, że należy postąpić w myśl po krewieństwa ras i tradycyi historycznej, a przede wszystkiem rzeczywistych życzeń i dążeń mieszkańców".

Dalej mówił Asquith o liniach wytycznych pokoju trwałego. „Pokój, któryby umożliwiał odżycie zakapturzonego stanu wojennego, nie opłaci się. Raz na zawsze należy usunąć z pośród zasad naszych błędną zasadę, że, jeżeli pragnie się pokoju, należy się sposobić do wojny. Przyszłe pokolenia mogą dożyć złotego wieku. Obawiam się jednak, że my, a może tylko najmłodsi z nas, będą to szczęście tylko z oddalenia widzieli. Twierdzę, że nie prowadzimy wojny dla samego pokoju, lecz także wojnę przeciw wojnie, jako takiej. Po raz pierwszy w dziejach świata możemy urzeczywistnić ideał nie tylko europejskiej, lecz cały świat obejmującej polityki złączenia narodów w związek, którego podstawą będzie sprawiedliwość, a kamieniem węgielnym wolność.

Ograniczenie zbrojeń, przyjęcie sądu rozjemczego, jako naturalnego sposobu rozwiązywania międzynarodowych sporów, uznanie wojny agresywnej i wojny z ambicyi za głupstwo, wszelkie dawne przeżycia tego rodzaju będą etapami na tej drodze.

Z początku, a może i dłuższy czas, nie będzie można zrezygnować z przymusu wojskowego, względnie gospodarczego, wobec nieuczciwych i opornych, lecz możemy spodziewać się, że rzeczywiste prawo owe środki przymusowe usunie na dalszy plan, a uznaną zostanie zwierzchnia władza, opierająca się na zdrowym rozsądku ludzkości.

Zmiany nie dokonają się w jednym dniu, a wraz z niemi nastąpią głęboko sięgające przesunięcia, nie tylko w stosunkach granicznych państw, ale także w wewnętrznej budowie, istocie i działaniu organizmów społecznych.

Niepodobna uwierzyć, aby ten ogólny przewrót nie pozostawił śladów w dziedzinie przemysłowej i gospodarczej, gdyż wojna ta, o ile idzie o nas i naszych sojuszników, tem się różni od innych wojen, jakie były na świecie, że nie jest to wojna dynastyczna, ani wojna imperyalistyczna. Jest to wojna, w której wolne ludy świata wystąpiły, niosąc pomoc, stawiając na szalę życie swe i życie swoich dzieci. Gdy burza minie i znów się rozpogodzi, czyż znowu nie będziemy musieli rozpatrywać rzeczy w nowem, prawdziwem świetle? W międzyczasie musimy jednak trzymać proch w pogotowiu".

Odwiedziny u internowanych.

(Do illustracyi na str. 3).

Znane są Czytelnikom naszym losy Legionów polskich w ostatnich czasach. Następstwem odmówienia złożenia przysięgi przez Legionistów było internowanie opornych w Szczypiórnie i Benjaminowie, gdzie traktowano ich na równi z jeńcami wojennymi. Społeczeństwo polskie, które w Legionach widzi kadry przyszłej armii narodowej, szczerze współczując z internowanymi, starało się też uprzyjemnić im pobyt. Zajęto się więc dostarczaniem im jadła i ubrań cywilnych, odwiedzono ich też, by dać im w ten sposób poznać, że o nich nie zapomniano.

Illustracye nasze przedstawiają odwiedziny księcia Sapiehy i dra inż. Kasperowicza u oficerów legionowych, internowanych w Benjaminowie.

Z polskich pobojowisk.

W uzupełnieniu podanych już w poprzednich numerach *Nowości illustrowanych* wzmianek o przerażającym obrazie zniszczenia, jaki przedstawia Galicya wschodnia, zamieszczamy dziś dalszą seryę illustracyi, malującą bardzo wymownie oswobodzicielską działalność Moskali na terenie „prykarpackoj Rusi". Ruiny i zgliszcza, to ślady pobytu najeźdźców, którzy szybko parli ku zachodowi, by „uwolnić swych uciemiężonych braci", ale jeszcze skwapliwiej zmykali.

Konkurs piękności w Rabce.

Żadne może z naszych zdrojowisk nie posiada tak pomyślnych warunków rozwoju, jak Rabka, z roku też na rok zdrojowisko to się podnosi, a frekwencya kuracyuszów, szukających tu pomocy, stale się wzmaga. Obecny zarząd dokłada też wszelkich starań, by zakład kąpielowy urządzić prawdziwie po europejsku i uprzyjemnić pobyt przybyszom.

Jedną z atrakcyi ukończonego właśnie sezonu był wspaniały festyn, urządzony na cele dobroczynne.



Konkurs piękności w Rabce: Laureatka konkursu, p. Bronisława Katznerówna

Do szeregu niespodzianek należał i konkurs piękności, w którym laureatką była Krakowianka, p. Bronisława Katznerówna. Dzięki sprzyjającej pogodzie, która w tym roku szczególniej dopisała, festyn wypadł wspaniale i przyniósł wcale pokaźny dochód.

Kronika tygodniowa.

I dała drapaka, gdzie pieprz wcale nie rośnie, to jest do Lwowa, nawiedzając po drodze i inne miasta Galilei, a panu fizykowi spadł z serca kamień, który magistrat kazał potłuc i użyć go na wyszutrowanie dróg podmiejskich, tu i ówdzie bardzo już zniszczonych.

Zegnamy ją bez bólu serca, życząc szczęśliwej drogi i prosząc, by o nas raczyła już na zawsze zapomnieć, choć jej tu było i dobrze i wygodnie.

Każdy z P. T. Czytelników domyślił się zapewne, że kronikę rozpoczynam od czerwonki, tak, jak poprzednią na niej zakończyłem, zadowolony, że mnie pominęła, choć zdawało mi się już, że zaczynam zbyt „różowo" zapatrywać sie na ten doczesny żywot.

Lwów przyjął ją z niezbyt wielką radością, szczególniej zaś tamtejszy fizykat rad byłby bardzo, gdyby się mógł pozbyć nieproszonego gościa. Słuszności jednak stało się zadość. Miał z nią kłopoty krakowski pan fizyk, niechaj je ma i jego lwowski kolega, chyba, że weźmie się do niej tak energicznie jaki lwowski cudotwórca, jak to uczynił w Krakowie były kelner z Hotelu Europejskiego, który powinien zostać za ten czyn prawdziwie obywatelski podanym do nagrody Nobla z zakresu medycyny.

Na „ewakuacyę" czerwonki narzekają tylko przedsiębiorcy pogrzebowi, mający obecnie mniej „roboty", a nie mogący się doczekać taryfy maksymalnej, dotyczącej ich „przyjemnego" zajęcia.

Ale niech się nie martwią!... Czerwonkę dyabli wzięli, nie brak przecież i innych epidemii. Dla rozmaitości może przyjść kolej na tyfus, cholerę lub coś podobnego, w miarę bowiem rozwoju sztuki lekarskiej mnożą się i rozmaite choróbska, niczem grzyby po deszczu, a w obecnych warunkach znajdują wszędzie bardzo odpowiednie podłoże dla swego rozwoju.

Coraz mniej natomiast słychać o tak modnej dawniej ślepej kiszce. Czemu to przypisać, rozwojowi okulistyki „wewnętrznej", czy też ciężkim czasom, tego nie wiem. Zdaje mi się przecież, że ta druga przyczyna wchodzi tu w grę. Ludzkość upamiętała się i nie hołduje w tej mierze obżarstwu, jak to bywało dawniej, gdy wszelkiego „papu" mieliśmy podostatkiem, *ergo* i dyeta wojenna ma swoje dobre strony, a któż ma je podnieść, jak nie kronikarz. Ślepej kiszce otwarły się oczy, przyszła do przekonania, że może usunąć się na bok, gdy rodzaj ludzki trapi tyle innych przypadłości.

Że zaś zdrowie jest bardzo cenną rzeczą, tego dowód mamy choćby w tem, iż nawet ministerstwo skarbu, które dotąd nic z hygieną nie miało wspólnego, zajęło się sprawą różnych surogatów, mających nam zastąpić tak przez wszystkich pożądany dziś tytoń i zakazało sprzedawania w trafikach różnych domieszek, choć panowie trafikanci, troskliwi nie tyle o zdrowie ogółu, ile o dobro swej własnej kieszeni, przewidując zbliżanie się tytoniowej „czarnej godziny", zaczęli je powoli magazynować.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności (jest to pod pewnym względem zdradzeniem tajemnicy urzędowej...), co może nam w danym wypadku zastąpić tytoń. Należą tu więc: macierzanka, mięta pieprzowa, krwawnik, podbiał, burak, babka, wiśnia, czereśnia, brzoza, tarnina, przedewszystkiem zaś orzech. Według opinii znawców, mogłyby wszystkie te surogaty być używanymi bez szkody dla zdrowia tylko wówczas, jeśli stanowią bardzo małą domieszkę do prawdziwego tytoniu, w przeciwnym bowiem razie są przyczyną różnych chorób, zwłaszcza zaś wonna macierzanka, która powoduje nawet bardzo poważne zaburzenia systemu nerwowego.

Muszą być jednak i takie surogaty tytoniowe, które zdrowiu nie szkodzą, wiemy bowiem dobrze, że zarząd monopolu tytoniowego wydaje nam obecnie tytonie wojenne, jak sam ogłosił, z czemś mieszane, ale z czem, o tem nikt nie wie. To pozostało taką samą tajemnicą, jak kwestya, z czego się dziś wyrabia n. p. kiełbasy. W każdym razie musi to być jakaś roślina, wyżej nie wymieniona (może buk, kasztan, kapusta?... przyp. zecera), skoro ministerstwo skarbu, ze względu na zdrowie ogółu, nie przestrzega przed używaniem urzędowych fabrykatów, o które tak dziś trudno się doprosić w każdej trafice.

Jak zaś pięknie rozwija się pokątny handel wyrobami tytoniowymi, to widzimy choćby z tego, iż n. p. cygaro „portoriko" (cena dwanaście halerzy) płaci się „przez grzeczność" tylko... sześćdziesiąt halerzy, a „kuba"... koronę!

Powiadają ludzie, gdy się palacze na te stosunki skarżą, że sami konsumenci są winni temu, bo nie powinni tyle płacić, ale proszę mi powiedzieć, co ma począć taki pan, który przy pracy musi sobie koniecznie puścić choć kilka dymków, nieraz nie bardzo wonnych. O paniach nie mówię, jestem bowiem przeciwnikiem zdeklarowanym kobiet-palaczek, godząc się natomiast na używanie przez płeć nadobną w późniejszym wieku tabaczki. Ba, ale i tabaczki dziś brak, a jeśli się ją przypadkowo otrzyma, to jakość pozostawia bardzo wiele do życzenia. Za drogie pieniądze niejedna staruszka nawet sobie kichnąć porządnie nie może!

Z tego wszystkiego wynika, że ministerstwo skarbu ma może racyę, twierdząc, że jakość tytoniu wpływa na zdrowie ludzkie, ja zaś dodam od siebie, że i ilość jego ma też pewien wpływ. Znam pewnego jegomościa, który nabawił się rozdrażnienia nerwowego w bardzo wysokim stopniu tylko dzięki temu, iż stał w „ogonku tytoniowym" przez kilka godzin, odszedł z kwitkiem, a potem musiał sobie kupić „z boku" jedno kuba za koronę.

Należałoby więc, by odnośne czynniki, do których to należy, postarały się o to, aby w trafikach znalazło się więcej tytoniu „urzędowego", więc bez owych szkodliwych dla zdrowia domieszek, a nadto, by rozdział jego był należycie kontrolowany. Są trafiki, zwłaszcza mniejsze, gdzie w kwadrans po nadejściu „fasunku", już rzekomo nic niema, gdy tymczasem ludzie opowiadają sobie na ucho, iż wieczorem cały worek wyniesiono, ale dokąd, tego nikt nie wie.

Doszło już do tego, że, jak niegdyś Ezaw sprzedał swe prawo pierworodztwa Jakóbowi za miskę soczewicy, dziś każdy uczyniłby to z przyjemnością nawet nie za paczuszkę dawnej „trzynastki", ale za marnego i do niedawna w takiej pogardzie będącego „cienkiego". Choć i soczewica to dzisiaj rarytas, pojawiający się tylko na stołach wielkich panów i owych „nowych ludzi", co to fortuny porobili dopiero teraz, w wojennym czazie i nie mogą darować papieżowi Benedyktowi, iż, propagując pokój, naraża na szwank ich interesy.

Co do mnie, to ja, jako skromny człek, palę sobie czasem fajeczkę, o ile, *nota-bene*, dzięki dobrym ludziom, nie mając czasu na wystawanie w ogonku, rozporządzam tytoniem. Ale przyznać muszę, że ten tytoń to wcale nie pachnie i nieraz też przychodzi na tem tle do nieporozumienia. Kiedyś twierdzono w Redakcyi, że z pewnością sadze zapaliły się w kominie, onegdaj utrzymywał ktoś, że czuć zapach przypiekanego na wolnym ogniu kalosza, dziś ja sam byłem przekonany, że gdzieś tli się jakaś szmata, w rezultacie przecież pokazało się, że ta rozmaitość zapachów rozchodzi się z mej fajeczki, która, choć mała, tyle może smrodu narobić.

Sytuacya, wytworzona wojną, na każdym więc kroku, jak z powyższych wywodów widzą Czytelnicy, odbijać się może i musi na zdrowiu obywateli, wywołując różne słabości, znane już i opisane w podręcznikach lekarskich. Powoduje ona jednak, zwłaszcza w niektórych ważniejszych wypadkach i nowe, dotych czas nieznane przypadłości, nazwijmy je politycznemi. Do nich należą w pierwszym rzędzie przypadłości gastryczne na tle politycznem, słabość, mająca to do siebie, iż na nią zapadają tylko osobistości bardzo wysoko położone i to wtedy, kiedy uważają za stosowne, że należy zachorować. Przebieg jest zazwyczaj łagodny, procent śmiertelności równa się zeru, a wyzdrowienie następuje z zasady z chwilą wyjaśnienia się sytuacyi. W fizykacie miejskim zgłoszono w ostatnich czasach jeden jedyny wypadek zasłabnięcia na tem tle, zarządzono też wszystko, by się choróbsko nie rozszerzyło i nie przybrało charakteru epidemii. Obawy były przedwczesne, szary tłum, jak się już rzekło, jest w tym kierunku odporny i ów *baccillus politicus* stale go też, widocznie wiedząc o tem, łaskawie omija.

W tem miejscu nadarza się bardzo piękna sposobność do zwrócenia się na polityczne tory i poświęcenia słów kilku Kołu Polskiemu, które ma ogromną ochotę rozlecieć się w kawałki i zamienić na cały szereg małych kółek i kółeczek, każde naturalnie ze swym środkiem, to jest prezesem, wiceprezesem i t. d., co wpłynąć musi bardzo dodatnio na zwiększenie się liczby naszych dygnitarzy nad Dunajem. Trzeba jednak politykom naszym przypomnieć ową bajeczkę o ojcu umierającym i patykach. Gdy ich była cała wiązka, żaden ze synów, choć chłopy były na schwał, niczem Cyganiewicz, nie potrafił jej złamać, skoro ją zaś rozdzielono, konający starowina, choć ledwo już ruszał rękami, połamał je, jeden po drugim, bez trudności.

Nasi panowie „Kolarze" i ci, co stoją poza Kołem, powinni o tem pamiętać, zwłaszcza teraz, gdy jedność bardziej nam potrzebna, niż kiedykolwiek, gdy na ciało nasze dybią wilki (poseł Wolf), nad zatraceniem zaś duszy pracuje dyabeł (poseł Teufel) i jego komilitoni.

A takich przyjaciół mamy więcej. Podobnie, jak i innym Słowianom, i nam oni dają się bardzo często we znaki, a działalność ich będzie tem bardziej ułatwioną, jeżeli my sami zaczniemy się kłócić i wadzić między sobą, spuszczając z oka to, co się obok dzieje. Na wilka owego jest jednak rada, można go obłaskawić cukrem, na dyabła radziłbym użyć egzorcyzmów, posługując się przy tem kropidłem, o ile możności jak największem i obróconem, jak to mówią, „starszym końcem" w jego stronę. Obejdzie się wtedy i bez wody święconej, samo kropidło wystarczy, ale musi być przedwojenne, to jest, sporządzone z należytego materyału. Egzorcysta musi też mieć silną rękę i wyrobione mięśnie, by mógł osiągnąć pożądany skutek.

Ataki panów Wolfa i Teufla w wiedeńskim parlamencie, skierowane tym razem nie przeciw nam, ale głównie Czechom, miały miejsce na posiedzeniu podczas debaty budżetowej. Obecnie przedstawiciele ludów monarchii radzą nad budżetem i przy tej sposobności dowiedzieli się z ust ministra skarbu, barona Wimmera, że jest źle i to bardzo źle. Zamiast treści jego przemówienia podam tylko tytuł artykułu jednego z pism i drobne tytuliki, a każdy niech sobie resztę sam dośpiewa.

Tytuł ów brzmi: „Co nas czeka?"... drobne zaś tytuliki są następujące: „Długi i nowe ciężary. Zawrotne cyfry kosztów wojennych. Redukcya majątku. Nowe podatki pośrednie. Prowizoryum gospodarczo finansowe. W poszukiwaniu nowych źródeł dochodu".

To suche wyliczenie samo już za siebie mówi, dodać zaś mogę od siebie tylko tyle, iż dług wojenny doszedł już czterdziestu przeszło miliardów, redukcya zaś majątku wszelkich posiadających coś jednostek obliczoną jest na trzydzieści procent ich stanu posiadania, a objąć ma wszystkich, by nikt nie mógł narzekać, że go pominięto.

Najsympatyczniejszem jest zakończenie, to jest ów tytulik, który powiada: „W poszukiwaniu nowych źródeł dochodu".

Czytając to, lub słysząc, każdy mimowoli łapie się za kieszeń, gdyż wie, do czego to zmierza. Mają być więc w pierwszej linii podwyższone taryfy kolejowe i wszelkie należytości państwowe, przyjdą nadto nowe podatki pośrednie, przedewszystkiem więc od tego, bez czego nikt się obejść nie może, to jest w pierwszym rzędzie od środków żywności. Dlaczego jednak autor artykułu do środków „żywności" zaliczył węgiel (na wino i cukier się zgadzam!...), tego sobie wytłumaczyć nie umiem. Tak źle przecież jeszcze nie jest z nami, byśmy potrzebowali aż jeść... węgle, które, według ogólnej opinii znawców, nie są ani zbyt pożywne, a tem bardziej strawne.

Ale trudno, inaczej być nie może! Szkoda tylko, że przed rozpoczęciem wojny nie przypomnieli sobie panowie politycy owego mądrego zdania, iż do jej prowadzenia potrzeba przedewszystkiem trzech rzeczy, to jest pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

To więc, co nas czeka, jak z mowy pana ministra skarbu wynika, nie będzie wcale przyjemnem i z wielką przyjemnością złamałbym w tem miejscu na znak protestu swe kronikarskie pióro, gdyby nie to, że szpalty trzeba koniecznie dokończyć, by nie świeciła białą plamą, choć i to się zdarza, że nawet kronika zapada czasem na „tyfus plamisty".

Co ma być, to się już odwrócić nie da, nie należy przecież tracić otuchy i „mimo przeciwności, nie upadać na duchu", jak powiada pan fizyk w dziesiątem z przykazań, wydanych swojego czasu przez siebie i ogłoszonych drukiem, a rozlepionych nawet w wozach tramwajowych dla pocieszenia jadących, zwłaszcza na wąskotorowych liniach miejskiej kolei elektrycznej.

To przecież wszystko głupstwo w porównaniu z ową świeczką, ważącą jedną szesnastą część kilograma, a mającą nam odtąd wystarczyć na cały miesiąc. Łamałem sobie nad tem głowę, jak ten problem rozwiązać i doszedłem do przekonania, iż nie powinno się jej wcale świecić. Tak powinni uczynić i P. T. Czytelnicy, a wyjdą na tem dobrze, przebywanie bowiem w ciemności ma, według zdania powag lekarskich, wpływać bardzo dodatnio, zwłaszcza na wzrok. Zresztą tak być musi, bo takie jest rozporządzenie, więc nie ma o tem dyskutować.

Lepiej zająć się czem innem, bo tematów nie brak, brak natomiast miejsca, wobec czego to i owo i całą resztę odkładam na następny tydzień, polecając się miłej pamięci i sympatycznym wspomnieniom P. T. Czytelników, tak tych, którzy już prenumeratę zapłacili jak i tych, którzy to dopiero zamierzają uczynić...

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Walku! Kokon je jeża! A bada i pył! A.

Łamigłówka wojenna.
Ułożył Pikuś z Wieliczki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek w pierwszym rzędzie pionowym i trzecim, podadzą nazwy dwu miejscowości, znanych z ostatnich sprawozdań wojennych.

—i—
—sa
—oc
—on
—l—
—ak
—za
—ey
—i—
—ga
—ar
—an
—w—
—wa
—in
—ta

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - o - a - a - a - ię - - - a - i.
2) - - a - - - - y - - - o u - e - - y.

Szarada.
Ułożył S. I. Tarski, Kraków.

Pierwsze i trzecie do nakrycia służy,
Lub do ozdoby w domu i kościele,
Trzeciego z pierwszem znajdziesz bardzo wiele
W składzie u kupca, koleją w podróży,
Trzecie i drugie, to miano osoby
Męskiej, lecz znać też mu przypadek czwarty,
Całość, to sprzęt domowy, wiele dzisiaj warty,
Co do wygody służy i ozdoby.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Pies gzi się, poszedł po lej, zje.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko znakomitego polskiego strategika.

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Część oka. 2. Wzgórze koło Jerozolimy. 3. Rzeka w Chinach. 4. Prorok izraelski. 5. Jamochłon. 6. Miasto w Niemczech. 7. Przyrząd optyczny. 8. Cesarz rzymski. 9. Przedmieście Warszawy. 10. Postać z mitologii greckiej. 11. Środek odurzający. 12. Starożytna budowla grecka. 13. Miejscowość klimatyczna w Austryi. 14. Krzew. 15. Część audytoryum w teatrze. 16. Część stroju duchownego.

Grzebieniówka.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego filozofa.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Przymiot. 2. Kraj koronny austryacki. 3. Zarządca prowincyi w starożytnej Persyi. 4. Lekarstwo. 5. Rodzaj poezyi. 6. Poeta polski. 7. Płyn łatwo zapalny. 8. Kraj w Azyi. 9. Inaczej przedsięwzięcie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Santi, kół, nóż.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Sosenko, poczta pol. 286.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód po szczególnych osób:

IZ JODEŁKO

A. Z. RATYNSKY.

ANT. R. WEYZER.

ANT. OCEPSKI.

E. CZERYL

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 38.

Logogryf:

H
f e z
G e n n a
C h a r k ó w
M a r t y n i k a
k a s k a d a
m i s k a
K i m
s e c e s y a
ć m a
o l i w a
o k a r i n a
k a s k a w e l a
C a r d i f f
w a z o n
o k o
i

Zadanie do przestawienia: Łatwo się łzy ocierają, kiedy jest czem.

Arytmogryf:

C
l z a
K l e c k
C z o s ł a w
m i ł e k
r a k
w
J
m a g
f e n i g
c e r k i e w
J a n k o w s k i
G e r w a z y
J e s s e
O k a
i

Kwadrat magiczny:

K w e b e k
F r y g i a
O p e r t o
S z n m l a
N i e m e n
S a m b o r

Zadanie na rozsypane litery: Chodzi, jak wilk w owczej skórze.

Łamigłówka:

Lew
era
g j
Iza
eko
nów
Pol
ena
lis
sód
kur
Iwa

Zagadki: 1) Słoń-ce 2) Niebo

Bilety wizytowe: Sędzia powiatowy. Kelner hotelowy. Tandeciarz. Śpiewak operowy. Uczeń gimnazyalny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Garwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Koznbski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, E. Winter Tarnów, K. Zbroński Lublin, B. Książek Miejsce Piastowe, Z. Ruszkowska Nowo Radomsk, S. Bielski Rzeszów, M. Ostrowska Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Ostrowska, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Wystawa sztuki polskiej w Wiedniu
I. Jasomirgottstrasse 3.

boczna między Stefansplatz a Bauernmarkt

otwarta od godz. 10 przedpoł. do 6 popołudnin. Następujących artystów dzieła są wystawione.

Prof. T. Axentowicz, prof. J. Fałat, A. Grott, Vlastimil Hofmann, Wojciech Kossak, J. Męcina Krzesz, prof. K. Laszczka, prof. J. Malczewski, prof. J. Mehoffer, prof. Zygmunt Rozwadowski, prof. St. Rejchan, J. Skotnicki, W. Tetmajer, prof. J. Unierzyski, H. Uziembło, prof. Leon Wyczółkowski, Tadeusz i Zygmunt Ajdukiewicz, J. Brandt, Artur Grottger, Jan Matejko, Alfred Wierusz Kowalski. Zbiorowa wystawa prac Vlastimila Hofmanna i H. Uziembły.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego Odpow. redaktor: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madajskiego.